

Monika Gabriela Bartoszewicz: Islamski separatyzm

„Wydawać by się mogło, że rozważania o islamskim separatyzmie w Europie należą to ćwiczeń z zakresu political fiction. Istnieją jednak przynajmniej dwa powody, dla których warto zastanowić się nad tym zagadnieniem nie rozpatrując go jedynie jako pytanie retoryczne” – pisze dr Monika Gabriela Bartoszewicz w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Votum separatum?

Powodem pierwszym jest multikulturalizm, ideologia do niedawna dominująca w Europie a obecnie wciąż wpływowa. Multikulturalizm zakłada, że różne grupy kulturowe będą żyć razem w jednym społeczeństwie zachowując swoje kultury zamiast asymilować się, dostosowując do kultury wiodącej (we współczesnym kontekście zazwyczaj oznacza to tradycyjną kulturę danego państwa). Wiadomo jednak, że prawa stanowione przez dane społeczeństwo, te którymi się ono rządzi, są prostym przedłużeniem jego wartości przekonań wpływających z kultury. Zatem w sytuacji, kiedy przedstawiciele różnych kultur żyją w ramach jednego systemu legislacyjnego, musi dochodzić do napięć pomiędzy odrębnymi systemami wartości.

Wiadomo, że prawo satysfakcjonujące wszystkich jest trudno ustanowić nawet w sytuacji „monokulturowej”. Przy braku homogeniczności zadanie takie staje się po prostu niemożliwe. Co zatem robić w takiej sytuacji? Można skłonić przybyszów do zaakceptowania kultury

obowiązującej w ich nowym miejscu zamieszkania. Można ustanowić różne prawa dla różnych ludzi, w zależności od tego do jakiej kultury należą. Ostatecznie, co wydaje się jednak absurdalne, można też oddzielić od siebie różne grupy i pozwolić im na ustanowienie własnych rządów i praw, które będą im odpowiadały. Jak to jednak wygląda w praktyce?

W klasycznej demokracji zazwyczaj to większość narzuca swoją wolę mniejszości. W przełożeniu na mechanizmy i procedury polityczne oznacza to, że kultura mniejsza i słabsza musi się dostosować do obowiązujących zasad oraz praw, które wypływają z kultury autochtonicznej. Z tego zresztą wynika filozofia asymilacji, która w przeszłości obowiązywała w znakomitej większości krajów zachodnich (zaś obecnie obowiązuje w krajach niezachodnich). Jest ona wynikiem logicznego rozumowania, bazującego na założeniu, że jeśli ktoś chce być częścią danego społeczeństwa, to powinien wykazywać chęć dostosowania się do kultury, która owo społeczeństwo ukształtowała. Jeśli zaś nie ma takiego pragnienia, to może po prostu taka osoba nie powinna do obcej sobie kultury przybywać i tu się osiedlać (zakładając że nie została do tego zmuszona).

Z perspektywy multikulturalizmu takie założenia są jednak całkowicie błędne, zaś mniejszość powinna być chroniona – czego odzwierciedleniem są zasady, instytucje i mechanizmy obecne w demokracjach liberalnych. Takie ujęcie multikulturalizmu sprawia, że społeczeństwo wielokulturowe jest przedstawiane jako teren konfrontacji wartości kulturowych, które przekształcają się w partykularne interesy polityczne. Społeczeństwo takie nie jest już oparte na dążeniu do dobra wspólnego, ale przekształca życie polityczne w przestrzeń, w której tożsamości postrzegane w

kategoriach „większość” lub „mniejszość” konkurują ze sobą w poszukiwaniu reprezentatywności politycznej (a także podmiotowości). Multikulturalizm opiera się bowiem na przekonaniu, że emigranci nie powinni być zmuszani do porzucania swoich tradycyjnych kultur, ale wręcz przeciwnie, powinni być zachęceni do ich kultywowania, zaś koszty tego powinny być ponoszone przez autochtonicznych mieszkańców kraju, który emigrantów przyjmuje. Nieodłączną konsekwencją takiego postępowania jest to, że prawo obowiązujące w danym państwie będzie musiało zostać dostosowane na potrzeby kultury nowych przybyszów. Można tego dokonać albo ustanawiając całkowicie nowe prawa, albo też ustanawiając wyjątki od praw obowiązujących, które w zależności od kulturowych preferencji obywateli, będą albo nie będą obowiązywać w przypadku danej grupy.

To drugie rozwiązanie jest szczególnie popularne w Wielkiej Brytanii (ale nie tylko), gdzie istnieje cały szereg rozmaitych wyjątków, głównie dla muzułmanów, którym na przykład w różnych sytuacjach związanych z prawem rodzinnym pozwala się stosować przepisy prawa koranicznego. Jest to najoczywistszy gwałt na zasadzie równości wszystkich obywateli wobec prawa oraz na zasadzie jednego prawa dla wszystkich. Zanim nastąpiła epoka doktryny multikulturalizmu wszystkie państwa musiały traktować swoich obywateli jednakowo. Dzisiaj to czy i jakie prawo jest stosowane często zależy od miejsca narodzin albo tego, do jakiej kultury człowiek przynależy. Właśnie dlatego muzułmanie, którzy w Europie dopuszczają się np. przestępstw na tle seksualnym często są z nich przez sędziów „rozgrzeszani” z powodów kulturowych.

Nawet w monokulturowym społeczeństwie bardzo trudno jest wygzekwować szacunek i przestrzeganie prawa. W sytuacji, w której część obywateli pewnych zasad nie musi w ogóle przestrzegać, rządy prawa w praktyce nie istnieją, zaś całe społeczeństwo powoli, ale nieuchronnie degeneruje się do poziomu plemiennego. Przynajmniej w tę stronę zdają się ewoluować całe dzielnice Londynu oraz innych angielskich metropolii, które deklarują się jako Sharia zones – strefy szariatu, w których obowiązują przepisy prawa koranicznego. Zjawisko to zachodzące także we Francji Marine Le Pen określiła na łamach „Le Figaro” mianem „okupacji bez czołgów i żołnierzy”. Podobne obszary, wydzielone jako enklawy, żyjące własnym życiem zgodnie z niepisany, ale restrykcyjnie przestrzegany obyczajem, czasem narzucany przez swoiste straże obywatelskie, które same siebie określają mianem szariackich patroli, można znaleźć od Kosowa, przez Niemcy, po Szwecję. W rezultacie dochodzimy zatem do ostatniej z możliwych opcji o których pisałam powyżej – chociaż na pierwszy rzut oka wydawała się ona najbardziej kuriozalna. Powoli powstaje archipelag minipaństw rządzących się własnymi prawami, zaś sama Europa coraz bardziej się bałkanizuje.

Co ciekawe, bałkanizacja w naukach politycznych jest synonimem (podaję za PWN) kumulacji konfliktów i antagonizmów narodowościowych, rasowych, plemiennych, religijnych, skorelowanych ze sporami terytorialnymi (zwłaszcza w sytuacji „etnicznej mozaiki”, rozproszenia i przemieszania różnych grup etnicznych na danym terytorium, historycznych i współcześnie wymuszonych migracji oraz czystek etnicznych). O bałkanizacji mówi się chcąc jednym słowem opisać proces rozpadu spójnych organizmów politycznych na małe, słabe, skłócone ze sobą podmioty. Bałkanizacja stanowi zatem preludium konfliktów, często przyjmujących krwawe formy. Zanim

uznamy taki konflikt w Europie za całkowicie niemożliwy, przypomnijmy sobie, że już ponad 10 lat temu, bo w październiku 2006 r. Michel Thoomis, sekretarz generalny francuskiego związku zawodowego policjantów, ostrzegł o wojnie domowej we Francji: „Jesteśmy w stanie wojny domowej zorganizowanej przez radykalnych islamistów. To już nie kwestia przemocy miejskiej, jest to intifada, z kamieniami i koktajlami z Mołotowa. Już nie mamy do czynienia z dwójką, czy trójką młodych ludzi, stawiających opór policji, teraz widzimy jak na ulice wychodzą całe wieżowce, aby wymóc uwolnienie zaaresztowanych towarzyszy. Takie miejskie zamieszki mogą trwać całymi dniami, zamieniając się z bitew w prawdziwe wojny, których świadectwem są płacące przedmieścia Paryża, czy Malmö. O takich to konfliktach Chaim Kaufmann[1] pisał, że ich jedynym rozwiązaniem jest rozdzielenie poszczególnych grup demograficznych w osobnych enklawach, bowiem najbezpieczniejszym sposobem uniknięcia konfliktu jest dobrze zdefiniowany front demograficzny, który oddziela możliwie jak najbardziej homogeniczne populacje.

Tendencje do autosegregacji widać w całej Europie Zachodniej i Południowej; czasem pozostają one w ramach nieformalnych, niewidzialnych granic, dzielących poszczególne społeczności, czasami zaś nabierają form instytucjonalnych. I tak dla przykładu brytyjska organizacja Muzułmanie Przeciwko Krucjatom (Muslims Against Crusades) prowadziła kampanię utworzenia niezależnych islamskich państewek w 12 brytyjskich miastach, łącznie ze stolicą, którą coraz częściej nazywa się „Londonistanem”. Organizację zdelegalizowano, niestety trudno orzec, czy wraz z jej rozpadem idea muzułmańskich autonomii także odeszła w niebyt. Jest to wątpliwe jeśli przypomnimy sobie, że zgodnie z badaniami przeprowadzonymi w zeszłym roku aż

50% brytyjskich muzułmanów chce zakazu homoseksualizmu, 31% chce legalizacji poligamii, a 23% (niemal jedna czwarta!) po prostu wprowadzenia szariatu zamiast prawodawstwa brytyjskiego.

Naturalne tendencje do dzielenia się multikulturowych społeczeństw w spójne społeczności w ostatnich czasach jedynie się nasiliły w wyniku polityki nastawionej na masową migrację oraz działalności organizacji pozarządowych. W zeszłym roku w związku z narastającym kryzysem imigracyjnym i pogłębianiem się problemów z rozmieszczeniem wielotysięcznych rzesz uchodźców ośrodek analityczny European Democracy Lab (EDL) zaproponował, by dawać uchodźcom ziemię w Europie, żeby mogli w nowym miejscu odtworzyć swoją ojczyznę. W eseju zamieszczonym w niemieckiej wersji miesięcznika „Le Monde diplomatique” szefowa EDL Ulrike Guérot i austriacki pisarz Robert Menasse przekonywali, że zamiast finansować kursy integracyjne i językowe oraz przeznaczać znaczne środki na budowę murów, ochronę granic i wzmocnienie bezpieczeństwa, Europa powinna pomóc imigrantom przez wydzielenie pewnego kapitału na start i przyznanie ziemi pod zabudowę. Wtedy imigranci będą w stanie sami o siebie zadbać i będą mogli rozpocząć budowę miast. Właśnie takie miasta, w rodzaju Nowego Damaszku czy Nowego Aleppo, mogą być zdaniem Guerot i Menasse rozwiązaniem problemów związanych z integracją. Jako przykład podali osiedla niemieckich kolonistów zakładane w Ameryce w XVIII i XIX w. – New Hannover czy New Hamburg.

Takie pomysły tworzenia małych muzułmańskich enklaw, czy też kalifatów, byłyby niczym innym niż tylko utopijną mrzonką, gdyby nie drugi z czynników, o których wspomniałam na początku. Jest nim mianowicie historia. W przeszłości na terenie Europy istniały bowiem terytoria zdominowane przez muzułmanów i znajdujące się pod ich

zarządem. Zarówno Imperium Otomańskie, jak i mit Al-Andalus są zatem pewnym fundamentem, do którego można się odwoływać. Wspomaga to polityka Unii Europejskiej nieoszczędzająca środków na to, by ugruntować wśród swoich obywateli przekonanie, że islam jest częścią europejskiego dziedzictwa, jego integralną częścią historyczną (może się o tym przekonać każdy, kto wybierze się na wystawę „Islam to także nasza historia”, która kosztowała europejskiego podatnika jedynie 2,5 mln euro), a także jego przyszłością w związku wciąż przybywającymi na kontynent setkami tysięcy imigrantów z krajów muzułmańskich głównie północnej Afryki. Mylą się jednak ci, którzy uważają, że to także nagła wolta, nieco paniczna i desperacka reakcja na wzrastające w Europie nastroje antyimigranckie. Już bowiem w maju 2008 r. ówczesny przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso stwierdził, że „islam jest dziś częścią Europy. Ważne jest, aby to zrozumieć. Nie powinniśmy postrzegać islamu jako [czegoś] zewnętrznego. Jest on przecież obecny wśród naszych obywateli”.

Trzeba zatem założyć (i przygotować się na taką ewentualność!), że obok pokojowego współistnienia, możliwy nieco gorszy – nieco mniej pokojowe niewspółistnienie objawiające się rosnącym separatyzmem, polegającym na funkcjonowaniu już nie tylko równoległych społeczeństw, ale wręcz całych bytów politycznych. Nie byłoby to bez precedensu, co potwierdzają istniejące współcześnie i bardzo aktywne islamskie ruchy separatystyczne na Filipinach, Nigerii czy w Birmie (zwanej Mjanmą). Jeśli tak się stanie muzułmanie utworzą w Europie swoje małe Pakistany (wydzielony z Indii w 1947 roku miał zapewnić schronienie społecznościom muzułmańskim na obszarach Azji Południowej, a także ochronę ich praw i interesów), czy Kosowa (państwo to wywalczone zostało przecież nie przez Kosowian, bo tacy nie istnieją, ale przez etnicznych Albańczyków, którzy w odróżnieniu

od prawosławnych Serbów, wyznają islam). I być może, paradoksalnie, tylko taka separacja pozwoli na uniknięcie krwawych religijnych wojen, do których przecież nikt w Europie nie chce już wracać.

[1] Chaim Kaufmann, Possible and Impossible Solutions to Ethnic Wars, International Security 20(4), ss. 136-175